

# Zimowa podróż

Adam Zagajewski

## Zimowa podróż

W drugim tomie rozmów z Osvaldo Ferrarim – konwersacji nagranych w ostatnich latach życia autora *Południa*, obszernych, na przemian fascynujących i nieco nudnawych – Jorge Luis Borges opowiada anegdotę, której bohaterem jest Paul Verlaine. Otóż Verlaine zapytany, co sądzi o symbolizmie, miał powiedzieć: „Symbolizm? Przykro mi, ale nie znam niemieckiego”.

Pomyślałem, że Borges, który był autorem tylu znakomitych mistyfikacji literackich, wymyślił tę historię, ale nie, znalazłem, gdzieśby indziej, w internecie, zapis riposty wielkiego poety, jednego z głównych przedstawicieli symbolizmu w poezji: „Le symbolisme?... comprends pas... Ça doit être un mot allemand...”.<sup>1</sup>

Nie o Borgesie jednak chcę tu mówić, tylko o Stanisławie Barańczaku, o moim, naszym, zmarłym niedawno przyjacielu, pięknym człowieku i znakomitym poecie.

Chciałbym odnaleźć w pamięci postać Staszka bardzo jeszcze młodego. Tak się dzieje bodaj zawsze, że młodzi, najmłodszy poeci, ten wielkoduszny dar nieznanymi sił dla naszych, ogólnie rzecz biorąc, mało utalentowanych społeczeństw, dar powtarzający się w każdym pokoleniu, stanowią zawsze spory tłum, głośny i barwny, lecz potem, stopniowo, powoli, w miarę upływu czasu ten tłum maleje, rzadnie – wielu jego uczestników pozbawionych gratyfikacji w postaci druku, uznania, pierwszej książki, pierwszej recenzji, znużonych samotnością pracy pisarskiej orientuje się, iż nie brak zajęć dużo praktyczniejszych niż pisanie wierszy i co rusz któryś z nich (lub któraś z nich) dyskretnie wraca do innego życia, do życia prywatnego, rodzinnego, zwyczajnego, profesjonalnego, do zajęć w jakimś prawdziwym zawodzie – w czym zresztą nie ma nic nagannego, absolutnie nic.

Tak wiele jest tych dezercji postępujących na przestrzeni lat, że na samym końcu biologicznej wędrówki owej grupy wiekowej ostatni weterani poetyckiego pokolenia mogą się spotkać w jednym pokoju nad filiżanką bladej herbaty, przy kieliszku wina, czerwonego lub białego.

Otóż te statystyczno-filozoficzne obserwacje na nic by się nie przydały, gdyby je spróbować odnieść do Staszka. Ktokolwiek go wtedy spotkał – jako czytelnik

któregoś z wczesnych tekstów czy też osobiście – zdawał sobie sprawę, musiał sobie zdać sprawę, że Stanisław jest kimś niezwykłym, kimś pełnym energii tak wielkiej – i talentów tak licznych, determinacji i pracowitości, że żadna dezercja nie wchodziła tu w rachubę, że jeżeli ktoś odejdzie, zniechęci się, porzuci pisanie, to na pewno nie on. I co prawda – jak czytam po latach – grupa poetycka „Próby”, w skład której wchodził i Barańczak, i Krynicki, przeciwstawiała się programowo „fetyszyzowaniu” tzw. poezji samorodnej, talentu, natchnienia”, to jednak po latach można już pewnie zapomnieć o tym nieco doktrynerskim zastrzeżeniu i nie odrzucać tych staromodnych kategorii.

Jaki był za młodu? Coś z tego świetnie uchwyciła w rozmowie w radiowej Trójce Barbara Toruńczyk – opisała swoje pierwsze spotkanie ze Stanisławem w Lublinie (gdzie studiowała): publiczność wieczoru autorskiego z zainteresowaniem oczekująca młodego poety, już znanego, już mającego swą reputację i aurę, doznała wtedy pewnego zaskoczenia. Były to bowiem czasy przebierania się, czasy, gdy wielu uważało, że sprzeciw, także artystyczny, wobec świata wyrazić można i trzeba za pomocą kurtki wojskowej, bardzo długich włosów, odpowiednio zniszczonych dżinsów i militarnych butów. Zdarzały się nawet nieco słabsze talenty, które tak były zaaferowane dobieraniem odpowiednio wymownych strojów, że brakowało im już siły czy czasu na stworzenie innego manifestu artystycznego, już nie tylko sartorialnego.

Otóż zaskoczenie lubelskiej publiczności brało się stąd, że poeta, który przyjechał z Poznania, ubrany był „jak urzędnik”. Już nie pamiętam, czy chodziło o garnitur, czy o zwyczajną marynarkę – i krawat! Skandaliczny, mieszczański krawat. Ktoś powie, przecież to mało ważne, to są nieistotne drobiazgi, po co przywiązywać do nich wagę. A jednak drobiazgi te pokazują coś ważnego, coś, co dotyczy nie tylko dekoracji, strojów, lecz sięga dużo głębiej, mówi nam o naturze prac literackich Stanisława. Chodziło o zdecydowane i najzupełniej świadome odrzucenie teatralności, pozy, poszukiwanie prawdziwości, nawet zwykłości. Gdzieś w tle kryło się przekonanie (nierzadkie u poetów), że istnieje pewne napięcie, sprzeczność nieomal, pomiędzy wypowiedzią poetycką, która w pewien sposób, w sposób artystyczny, nieraz metaforyczny, dąży do prawdy czy do prawdziwości (choć zupełnie inaczej niż wypowiedź dziennikarska czy filozoficzna, inaczej nawet niż się to dzieje w powieści), a ekspresją teatralną i w ogóle całą „atmosferą teatralną”, światem teatralnym, chociaż niejedynemu poeta w końcu przyzna, że i reżyserzy, i aktorzy na swój fantazyjny sposób także szukają prawdy. Bo w końcu nie należy wykopywać przepaści między poezją i teatrem.

À propos zwykłości: przypominam sobie rozmowy z Józefem Czapskim, który bardzo cenił poezję Stanisława, chętnie do niej wracał i mówił mi nieraz: „Popatrz, to jest poeta zwykłego języka, on pisze po poznańsku!”.

Taka była atmosfera otaczająca młodego (ale i później mało się to zmieniło) Stanisława, atmosfera pracy, rzetelności; nie mistyczna chmura w rodzaju *The Cloud of Unknowing*, tylko raczej przejrzyste powietrze konkretnych obowiązków, planów, niekiedy trudnych czy ryzykownych, tak jak w latach konspiracji, czy też później, pozbawionych już policyjnego zagrożenia, lecz wciąż bardzo wymagających – jak przygotowywanie zajęć ze studentami w Cambridge. Bohema – nie, o tym nie mogło być mowy. Gdyby jednak czytelnik pomyślał, no to był w takim razie ktoś pozbawiony poczucia humoru, pomyliłby się fundamentalnie. Albowiem jednym z najważniejszych składników owej rzetelności, konkretności i antyteatralności było właśnie znakomite poczucie humoru, zbudowane z ironii, ze zmysłu obserwacji, z doskonałego wyczucia każdej sztuczności, każdej pretensjonalności.

Teraz migawki, momenty zapamiętane na przestrzeni lat.

Naprzód zupełnie prywatne spotkania w Poznaniu, w mieszkaniu przy ul. Kościuszki, u matki Stanisława, poniekąd w cieniu jej gabinetu dentystycznego, i tam pierwsze rozmowy, poznawanie się, początki przyjaźni ze Staszkiem, ale także z Anną, jego mądrą żoną, najwierniejszą towarzyszką.

Potem Kraków. Podziwiałem jego cierpliwość na spotkaniach – czy, gorzej, zebraniach – tak zwanej Młodej Kultury, czyli zespołu istotnie młodych wtedy autorów, których łączyło poczucie pewnej wspólnoty i którzy publikowali w piśmie „Student”. Te zebrania trwały zawsze za długo (co zresztą dotyczy prawie wszystkich zebrań, z wyjątkiem krótkich i energicznych posiedzeń mojego instytutu w University of Chicago), za oknem nieraz świeciło wiosenne słońce, przebijało się przez chmurę dymu papierosowego. To była pierwsza połowa lat siedemdziesiątych.

Później – przyjazdy Stanisława do Krakowa w drugiej połowie lat siedemdziesiątych (po Młodej Kulturze jako instytucji zostało wtedy już tylko wspomnienie). Nieraz zatrzymywał się u nas, w mieszkaniu na najwyższym piętrze bloku przy ul. Bolesława Chrobrego (na parterze mieszkał Julian Kornhauser, na dziewiątym piętrze Jerzy Radziwiłowicz, „człowiek z marmuru”) – przyjeżdżał do Krakowa, żeby uczestniczyć w sesji naukowej albo też zaproszony przez Uniwersytet Latający. Nie tylko Stanisław miał wtedy dwie równoległe egzystencje, jedną najzupełniej legalną, drugą konspiracyjną. Zdarzało się wtedy, że odbywaliśmy długie nocne rozmowy. Był zawsze przyjazny i otwarty, ale dopiero podczas późnych rozmów otwierał się naprawdę.

Przypadek sprawił, że widziałem Stanisława i Annę w Cambridge zaraz na początku ich osiedlania się tam, jeszcze w ich pierwszym i drugim mieszkaniu, zanim pojawił się dom w Newtonville, dom, który miał być wieloletnią ich fortecą, miejscem

wielkiej pracy i wielkiej choroby. Pamiętam ich ówczesne kłopoty i radości, radości było dużo więcej – uniwersytet, biblioteki, nowe życie w Nowej Anglii, ale także na przykład pierwszy samochód, jakim Stanisław z prawdziwą przyjemnością, prawie dumą, jeździł ulicami Cambridge i Bostonu. To było japońskie subaru i oczywiście Stanisław, poeta, ale i filolog, poprawiał tych rodaków, którzy nie wiedzieli, że w słowie subaru akcent pada na pierwszą sylabę, nie na polską przedostatnią. To mi przypomina Josifa Brodskiego, który pisał w jednym ze swych szkiców, że kiedy mieszkał jeszcze w Rosji i dopiero uczył się angielskiego, przekonany był, że słowo buick, też marka samochodu, musi mieć dwie sylaby, a nie jedną – któż by kupił jednosylabowe auto? (W końcu nawet fiat jest jednosylabowy tylko w Polsce).

Spotkaliśmy się kiedyś w Nowym Jorku – to było wtedy, gdy już prawie się skończył okres gorączkowej działalności publicznej Stanisława, który w latach stanu wojennego niestrudzenie jeździł po Ameryce Północnej (bo chyba i Kanada wchodziła w grę) i występował, nieraz wspólnie z gwiazdami w rodzaju Susan Sontag, czytając wiersze, mówiąc o sytuacji w kraju. Musiało to być dla niego bardzo uciążliwe, nie był przecież typem estradowym, nie lubił tego rodzaju imprez – nie miał w sobie, jak wiemy, nic teatralnego. Uważał jednak, że musi to robić jako obywatel, jako członek KOR-u. Jego rzetelność, jego odwaga i poświęcenie sprawiły, że – będąc z natury człowiekiem prywatnym, kameralnym, domowym i niezwykle pracowitym – podejmował się „dla dobra” obowiązków trudnych, sprzecznych z jego substancją. I także to, że w oczach setek rodaków przyjeżdżających do Bostonu był nieoficjalnym przedstawicielem „tajnej Polski” (to Niemcy stworzyli dla swojego kraju pojęcie „das geheime Deutschland”), był kimś, kogo koniecznie trzeba było poznać i odwiedzić, co było zaszczytem, wyróżnieniem, ale musiało też być chwilami czymś uprzykrzonym. Myślę, że nieraz tęsknił za spokojnym wieczorem – wieczorami na pewno wolał tłumaczyć wiersze Elizabeth Bishop albo oglądać w telewizji, nie bez pewnych oznak rodzącego się w nim lokalnego patriotyzmu, mecze koszykówki Boston Celtics.

I potem późne, ostatnie spotkania, kiedy był już naznaczony cierpieniem, kiedy jego dumna sylwetka wysokiego, mocnego mężczyzny kurczyła się, zwijała, zginana przez nieubłaganą chorobę. Wtedy już niewiele mógł mówić, potrzebował Ani, niezawodnej Ani, która tłumaczyła jego szept. Ale wszystko słyszał, wszystko rozumiał. Chwilami zapadał w drzemkę, był bardzo zmęczony i chorowaniem, i lekami. Jego wspaniała inteligencja nie została uszkodzona, zdradziło ją ciało, została porzucona przez aparat mięśniowy.

Wcześniej stał się poważnym autorytetem, podwójnym, jako poeta i jako przenikliwy i nieraz złośliwy krytyk – a jednak wkrótce wszystko postawił na jedną kartę, został jednym z członków założycieli KOR-u, i nagle coś się fundamentalnie zmieniło w

jego życiu. Poeta i teoretyk, nadzieja poznańskiej polonistyki, ktoś, kto miał wkrótce zostać docentem i profesorem, bijącym wszelkie rekordy czasowe w tej dziedzinie, stał się nieomal z dnia na dzień odważnym działaczem – przywracając temu słowu jego pierwotne znaczenie, zatarte przez służalczość niezliczonych „działaczy partyjnych”, których działanie ograniczało się do unoszenia ręki w momencie, gdy trzeba było głosować, jednomyślnie, za uchwałą kolejnego zjazdu.

Jeszcze słówko o „konspiracji” – i tu przecież nie brakowało pewnej teatralności, lekkiej przesady. Polacy (niektórzy) lubią konspirować, przebierać się, także psychicznie. I znowu: nie było tak w przypadku Stanisława, który w swojej pracy opozycyjnej był równie spokojny, rzetelny jak w innych swoich pracach. I także ambitny; był oczywiście człowiekiem ambitnym, nie mogło być inaczej u kogoś, kto tak wiele zrobił, kto miał tyle energii.

Gdy się spotykało Stanisława, w Poznaniu, w Warszawie czy w Krakowie (albo Lublinie), odnosiło się zawsze wrażenie, że on przed chwilą oderwał się od pracy, że jeszcze przed minutą pracował nad nowym szkicem albo poprawiał prace studentów (kto to opowiadał, jak na wielodniową głodówkę protestacyjną przyniósł ogromny zapas rzeczy do zrobienia, właśnie esejów studenckich do oceny, tekstów do tłumaczenia...).

Stanisław wcześniej debiutował, wcześniej dał się poznać nie tylko jako poeta, ale także jako krytyk i twórca programów poetyckich. Przecież jeden z centralnych tekstów tomu krytycznego *Nieufni i zadufani*, szkic tytułowy, ukazał się już w roku 1967, gdy jego autor miał ledwie dwadzieścia jeden lat i był studentem Uniwersytetu Adama Mickiewicza...

To właśnie owa „nieufność” była rdzeniem intelektualnym pisarstwa programowego Barańczaka na początku jego drogi, nieufność, ironia, krytyka – połączone z utopijną niewątpliwie nadzieją, że owe narzędzia wypalą, zniszczą społeczne zło, wszelką niesprawiedliwość. Nie będę tu wracał do ideowych dyskusji tamtych lat, jest już na to za późno, zresztą w niezliczonych artykułach czy zbiorach szkiców krytyków i poetów różnych pokoleń znaleźć można bez trudu analizy tamtych wypowiedzi.

Za młodu ukuł pojęcie i hasło „romantyzmu dialektycznego”. Po latach zapewne nie przywiązywał już wagi do tej terminologii, myślę, że spodobałaby mu się reakcja Verlaine’a na pytanie o symbolizm...

Odejdzie kogoś tak wybitnego jak Stanisław wzywa do czegoś innego, nie do szczegółowej dyskusji jego idei, tylko do hołdu (nie wstydzmy się tego słowa), do syntetycznego obrazu poety, tłumacza, krytyka, i człowieka po prostu. Śmierć zabrała nam nie teoretyka, nawet nie autora – tylko niezwykłego człowieka właśnie.

Człowieka i poetę. W dniu, kiedy w amerykańskim Cambridge odbywał się pogrzeb Stanisława, Krakowska Opera wznowiła *Podróż zimową* Schuberta i Barańczaka (lubię patrzeć na zestawienie tych dwu nazwisk). Ci, którzy nie mogli polecieć do Bostonu, zebrali się w sali kameralnej czerwonej opery i wysłuchali pieśni Franza Schuberta, do których wiersze, znakomite, kabaretowo-mistyczne, tragiczne i śmieszne, napisał Stanisław. Śpiewał pięknie baryton Andrzej Biegun. Wydaje mi się, że nie tylko dla mnie było to niezwykle przeżycie, i to nie wyłącznie dlatego, że wiedziałem, wiedzieliśmy, że w tym samym momencie na cmentarzu Mount Auburn w Cambridge zebrał się tłum przyjaciół Stanisława, żeby go pożegnać.

Zestawienie wielkiej, nieśmiertelnej muzyki Schuberta z poezją Stanisława było demonstracją jedności sztuki. Muzyka młodo zmarłego kompozytora, geniusza, który nie poznał podłości XX wieku, nic nie mógł wiedzieć o Auschwitz, o Kołymie, o pustce tyłu sektorów nowoczesnego życia, o nudzie świata natychmiastowej informacji (która nikogo nie porusza), ale przecież wiedział, czym jest życie i czym jest śmierć, zjednoczyła się w sposób idealny ze słowami napisanymi przez naszego przyjaciela, w natchnieniu, w walce z chorobą, z czasem, z rozpaczą, związała się ze słowami stworzonymi przez Stanisława, który nie tylko był świadkiem totalitaryzmu, ale także jego energicznym, dzielnym przeciwnikiem.

To było tak, jakby dwa zupełnie różne pokolenia, oddalone od siebie o sto pięćdziesiąt lat, osadzone w różnych krajach, w różnych eonach i językach, skazane na wieczne niespotkanie, Franz Schubert, artysta doby fraków i świec, armat i kłamstw dyplomatycznych, świadek kongresu wiedeńskiego, i Stanisław żyjący w cieniu Jałty i Poczdamu, w cieniu kłamstw jeszcze potworniejszych, systemowych i triumfalnych, w cieniu nieuleczalnej choroby, połączyły się tego popołudnia w idealnym kształcie artystycznym. Spotkały się w wielkiej, słodkiej melancholii sztuki, w smutku łagodnym przez doskonałość formy, wyrazu, przez gorzkie szczęście, jakie nam daje zachwyty, choćby krótkotrwałe. Tragiczny zachwyty, który przez moment pozwala nam nieomal radośnie zaakceptować coś, czego nie można akceptować, fakt, że wszystko ginie w zimnym ogniu czasu, najbardziej cierpliwego z zabójców.

Gdy czytamy najwspanialsze wiersze Stanisława, takie jak *Grażynie*, jak *Z okna na którymś piętrze ta aria Mozarta*, jak *Płakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził*, jak *Podróż zimowa* i inne, trudno nie zatrzymać się na chwilę i nie pomyśleć, kim właściwie jest wielki poeta. Stanisław pisał niezwykle wiersze nieomal od początku swej drogi poetyckiej, lecz to właśnie w tych późnych utworach osiągnął prawdziwe mistrzostwo i wtedy nie potrzebował już rusztowania programu, teorii, manifestu.

Nie mówię tego w duchu antyintelektualizmu, jest on dla mnie czymś bardzo obcym, odległym. Chcę tylko powiedzieć, że u wielkiego poety element intelektualny stapia się z innymi żywiołami poezji tak doskonale, że nie sposób już ich ani odróżnić, ani

oddzielić.

Paul Verlaine dobrze wiedział, czego nie rozumie.

*Adam Zagajewski*

<sup>1</sup> „Symbolizm?... nie rozumiem... To musi być po niemiecku...”

**nota**

pierwodruk: „Zeszyty Literackie” 2015, nr 1, s. 97-103